

Ks. płk Wilhelm KUBSZ

UCZESTNICZYŁEM W WALKACH POD LENINO

Gdy wybuchła II wojna światowa, przebywałem na Polesiu w Łuninie, pow. Łuniniec, jako wikary i prefekt. Ze względu na znaczny odpływ katolików z owej miejscowości przenieśliśmy się w 1940 r. do Łunińca, a w 1941 r. zostałem administratorem parafii Puzicze. Tu poznałem dokładnie życie Poleszuchów.

Niedługo zagrzałem tu miejsca, bo już w 1942 r. zostałem aresztowany przez niemiecką służbę bezpieczeństwa. Powędrowałem do więzienia w Sosnkowiczach, po czym przewieziono mnie przez Łuniniec do Hancewicz, a po trzech tygodniach zostałem odstawiony do więzienia w Baranowiczach. Tu dopiero dowiedziałem się, za co pozbawiono mnie wolności, mianowicie: za łączność z partyzantami, za kolportaż ulotek oraz za wpływanie na młodzież, aby nie zgłaszała się do Niemiec na roboty do fabryk. Zdawałem sobie sprawę z powagi i ciężaru zarzutu.

Nie zapomnę nigdy pierwszej nocy w Baranowiczach. O wypoczynku nocnym nie było mowy. Okropnie dużo pcheł i wszy. Rano wyglądałem jakbym dostał świerzbu — tak byłem posieczony. Gdy świt nadchodził, zauważyłem pod pryczą łachmany i różnego rodzaju węzłki. Dowiedziałem się też, że poprzedniego dnia wyprowadzono z mojej obecnej celi wszystkich jej lokatorów na rozstrzelanie, m.in. Żydów. Zauważyłem na ścianie nazwisko — ks. Mieczysław Kubik. Wiedziałem, że był to ksiądz dziekan z Nieświeża. Znałem go osobiście. Jakiś sługus niemiecki zdradził wielkiego patriotę. Ksiądz Kubik, związany mocno z ruchem podziemnym, został rozstrzelany.

Przez moją celę przesuwano się wielu współwięźniów. Byli to przeważnie Białorusini i Rosjanie. Dwóch, pamiętam, zasądzono za sabotaż dokonany w fabryce. Od coraz to nowych współlokatorów dowiadywałem się, że i tu, pod Baranowicze, podchodzą partyzanci. Czyżby to były oddziały, którym leczyłem zęby? (Przygotowując się na misje zagraniczne, wyuczyłem się również w czasie studiów teologicznych zawodu technika dentystycznego). Z partyzantami byłem mocno związany. W charakterze pacjentów odwiedzało mnie dowództwo brygady.

Kto mi pomoże wyjść z więzienia? Czy naprawdę muszę tu zginąć? Czy nie da się uciec?

Gdy mnie przewożono z Łunińca do Hancewicz, przyświecała mi nadzieja ucieczki, dopóki nie usiedli obok mnie policjanci Białorusini w służbie hitlerowskiej, z Hancewicz do Baranowicz nie mogłem jednak nawet marzyć o ucieczce, bo z jednej strony usiadł policjant z karabinem w rękę, a z drugiej żandarm niemiecki również dobrze uzbrojony. Nie mogłem więc skorzystać z rady mego księdza dziekana z Łunińca ks. Poczobutta-Odlanickiego (delegata rządu na Polesie), abym ratował się ucieczką. I w ten sposób wylądowałem w Baranowiczach.

Siedząc w celi miałem dosyć czasu na zastanowienie się nad swoją fatalną sytuacją. Wszy bez miary, brudu niemało, jedzenie stanowi kawałek chleba wielkości pudełeczka od zapalek i około litra czystej wody na dobę. Zdziwiłem się, gdy raz dostałem kawałek chleba od strażnika więziennego. Był to katolik — Austriak, przeciwnik hitleryzmu. Okazał mi wiele serca. Poszedł nawet do miejscowego proboszcza ks. dziekana Borysiaka, by powiadomić go, że przybył nowy więzień — kapłan katolicki. Niebawem ks. Tadeusz Grzesiak z Kiecka posłał nam probostwo w Baranowiczach pieniądze na chleb dla mnie. Ks. Borysiak uzgodnił z Austriakiem dni, w których można mi będzie przynosić nieco żywności.

Zasmucił się Austriak, dowiedziawszy się, że za łączność z partyzantką i za doradzanie młodzieży polskiej, by nie zgłaszała się ochotniczo do fabryk niemieckich, otrzymałem wyrok śmierci. Chcąc mnie pocieszyć, sprowadził mi niemieckiego księdza, który był sanitariuszem w Wehrmachcie, abym mógł przed śmiercią wypowiedzieć się i przyjmując Komunię św. Ten właśnie dzień był dniem 6 rocznicy moich święceń kapłańskich. Choć zdany na wolę Bożą — prosiłem gorąco Boga o wybawienie z więzienia.

Od Austriaka dowiedziałem się, że złapano kurierkę polskiego rządu za granicą z ważnymi dokumentami. Poinformował on mnie również, że Polacy przygotowują jakąś wielką zbrojną akcję. Niemcy

aresztowali prawie całą inteligencję polską na Zachodniej Białorusi. Sytuacja pogarszała się. Któryś z więźniów chcąc przypodobać się Niemcom, zdradził plan ucieczki, który opracował pewien więzień radziecki. W swojej celi nazaczył każdemu konkretne zadanie do wykonania. Niestety, zdrada uniemożliwiła wszystko. W parę godzin później wywelekli spiskowca na rozstrzelanie. Zaostrzono rygor. Nie wypuszczano nas nawet na spacer więzienny. Atmosfera stała się wprost nieznośna.

Rano dnia 2 lipca 1942 r. dzięki pomocy Austriaka wyszedłem, czy raczej wymknąłem się z więzienia bez dokumentów. W dalszym ciągu wisiał nade mną miecz Damoklesa — uprzednio wydany wyrok śmierci. Przy pomocy dobrych ludzi, do których po drodze trafiłem — zawędrowałem na teren swojej parafii. Nie widziałem jednak innej możliwości utrzymania się przy życiu jak przyłączenie się do partyzantki.

„Dziadzia Wasia”, dowódca Wasilewców, przygarnął mnie chętnie do swego oddziału. Byłem więc dentystą oddziału, nazwanego później Brygadą im. Lenina.

Partyzantka nasza przebywała na terenie mojej parafii Puzicze na błotach gryczyńskich, otoczonych lasami. W tym samym czasie, gdy hitlerowcy posuwali się pod Stalingrad, dzieliłem los bezdomnych partyzantów na Polesiu. Pod względem narodowościowym gros stanowili Rosjanie — żołnierze Armii Czerwonej, którzy broniąc się przed śmiercią głodową uciekli z obozów jenieckich w pobliskie lasy. Następną grupę stanowili Żydzi, którzy uciekli z getta, względnie ukrywali się przed Niemcami. Byli wśród nich i Polacy, przedwojenni więźniowie Berezki Kartuskiej, oraz Polacy, którzy za sprzyjanie partyzantom ścigali na siebie wyrok śmierci.

Jako ścigany przez hitlerowców, i ja znalazłem schronienie i przytułek wśród partyzantów. Szybko rosły szeregi partyzantów. Powstał problem zdobywania broni. W tym celu urządzano zasadzki na pojedynczo przejeżdżających Niemców. Przeprowadzono ataki na posterunki policji i żandarmerii niemieckiej. Nie ograniczano się do akcji partyzanckiej przeciwko blisko położonym placówkom żandarmerii i policji.

Prawie co tydzień, a niekiedy kilka razy w tygodniu partyzantka nasza wysadzała w powietrze całe transporty z amunicją. Przy takiej akcji pewnego razu stanął w płomieniach cały transport benzyny przeznaczonej na front. Było to na stacji Sienkiewicze. Przez kilka dni nie mógł tędy przejechać w kierunku frontu żaden transport.

Innym razem, gdy nadeszła wiadomość, że miał przejeżdżać przez nasz odcinek pociąg z amunicją strzeżony przez niewielu żołnierzy, koledzy podminowawszy tory, rzucili się i opanowali cały transport. Hitlerowcy pożegnali - się z tym światem, a partyzanci wzbogacili się w amunicję, automaty i karabiny maszynowe.

Nie każdy wypadek na transporty był uwieńczony pełnym sukcesem. Niekiedy nasi nie wracali do obozu — bywali zabici i ranni.

Na jesieni 1942 r., gdy nieduża grupa partyzantów zbliżała się do zabudowań b. majątku Szalkiewiczów w Puziczach, nadjechała ekspedycja pacyfikacyjna. Pomimo ostrzeliwania się dwóch partyzantów wpadło Niemcom w ręce. Jeden był obywatelem radzieckim, drugi zaś Polakiem. Rosjanina zapytali o miejsce obozu partyzanckiego. Nie przemówił ani słowa. Zbili go, skatowali i wyprowadziwszy za stodołę, rozstrzelali. Drugi miał przy sobie dokument po pewnym volksdeutschu którego za szpiegostwo musiano zlikwidować. Wiedział, że zwłok volksdeutscha nie znaleziono, więc podsztył się sprytnie pod jego nazwisko. Kłamał, że go partyzanci siłą zabrali. Niemcy przewieźli go do Hancewicz tu dali mu zadania szpiegowskie. W oddziale miał powiedzieć, że uciekł gdy go wieźli do Hancewicz. Dostał też pistolet i kilka granatów. Wyznaczono mu dzień i sposób składania meldunków. Prostą drogą powrócił do oddziału. Wyjawiał całą prawdę. Nie ukrywał niczego. Powtórzył każde słowo usłyszane i wypowiedziane w Hancewiczach. Nie wszyscy jednak darzyli go odtąd zaufaniem. Dowódca plutonu natomiast zaufa mu całkowicie i nie omylił się.

Nie zapomnę nigdy zimy spędzonej w oddziale partyzanckim. Latem można było bez większych

trudności pójść na zadanie. Zimą każdy kroj pozostawiał ślad za sobą. A Niemcy mieli swoich szpicli. Za mieszkania. służyły nam „ziemianki”. Ognia, ze względu na stałe naloty niemieckie nie można było rozpałać. Gdy w lutym 1943 r. znaleźliśmy się w okrążeniu i Niemcy użyli przeciwko nam artylerii i samolotów, trzeba był mieć nadludzkie siły, by podołać obowiązkowi. Skoro tylko zauważyliśmy samolot zwiadowczy, musieliśmy natychmiast opuszczać miejsce obozu i przenosić się o kilka kilometrów dalej, pozostawiając na starym miejscu wszystko to, co nie miało wartości, a pozorowało tam nasz dalszy pobyt. Zazwyczaj po kilkunastu minutach zaczynały spadać bomby na miejsce, które służyło nam dotąd za obóz.

Kluczyliśmy po błotach gryczyńskich nieraz całą dobę, aby wymknąć się z pierścienia. Minowaliśmy drogi, względnie udawaliśmy, że zaminowano drogi, ciągnąc wszędzie sznurki czy nitki i zostawiając czasami niby na pułapkę małą paczuszkę. Hitlerowcy wprost panicznie bali się min i wejścia w lasy.

Po pewnej od dwu do trzech tygodni trwającej obławie wyrwaliśmy się z okrążenia. Zaczynaliśmy spotykać cywilów ocalałych z pacyfikacji. Przeżyli tylko ci, którzy pomimo nawoływania hitlerowców, by wszyscy pozostali na miejscu, uciekli w lasy. Z tymi pozostawałem nadal w duszpasterskim kontakcie. W każdą niedzielę i święta odprawiałem im Mszę św. A właściwie trzy Msze, każdą w innym miejscu. Byli to przecież moi parafianie. Dołączyli się do nas i prawosławni, bo ich proboszcz z Chorostowa został w czasie pacyfikacji rozstrzelany. Od naocznych świadków dowiedziałem się, że hitlerowcy zapędzili wszystkich mieszkańców Czełońca, Chorostowa i część mieszkańców Puzicz oraz Rachowicz, mężczyzn, kobiety i dzieci, na obszerne podwórce majątku z zamiarem dokonania na nich masowej egzekucji. Ludzie płakali, dzieci krzyczały, wielu zaklinając się na wszystkie świętości prosiło o darowanie życia. Duchowny prawosławny widząc, że Niemcy skierowują lufy karabinów maszynowych na swe ofiary, poprosił o spokój i zezwolenie na krótkie przemówienie. Stał na podwyższeniu, zaapelował do wszystkich obecnych, aby przygotowali się na spotkanie z Bogiem. Wzbudził żal za grzechy i wszystkim udzielił rozgrzeszenia. Gdy chciał odmówić ze wszystkimi modlitwę — padły salwy z karabinów maszynowych. Zginął zacny „batuszka” wraz ze swoją rodziną — zginęli jego oraz moi parafianie.

Pozostałymi przy życiu katolikami i prawosławnymi zajmowałem się w niedziele i święta. Obchodziłem z nimi wszystkie prawie miejsca uświęcone krwią męczeńską naszych cichych bohaterów, poświęcałem ich groby i miejsca śmierci.

Co niedzielę wybierałem się do swoich parafian ze Mszą św. Miejsce i czas nabożeństw uzgadniałem z dowództwem partyzantki, dlatego że w okolicy panowali Niemcy. Partyzantka dawała nam ochronę, wyznaczała czujki, widziała we mnie i w moich współwyznawcach wielokrotnie wypróbowanych przyjaciół, którym też warto pomóc. Tryumfowała zasada przykładowego współistnienia i współpracy ludzi o różnych zapatrywaniach religijnych i poglądach na świat, solidarnych w walce ze złem, ze wspólnym wrogiem.

W czasie, każdej Mszy św. przemawiałem nie tylko na temat liturgii dnia, ale i o bieżącej sytuacji. Moi słuchacze stracili wszystkich swoich najbliższych i cały swój dobytek. Pozostał im tylko Pan Bóg, gromadka rodaków i partyzanci w lesie. Nigdy nie widziałem tyle łez na twarzach moich słuchaczy, co w czasie nabożeństw leśnych. Potrzebowali słowa otuchy, pocieszenia. Chyba wszyscy przystępowali do Komunii św. Patrząc na nich, miałem przed oczyma duszy obraz jednej z pierwszych gmin chrześcijańskich.

W ten sposób minęła ciężka zima z 1942 na 1943 r., wypełniona nie tylko opieką nad ocalałą ludnością, ale i udanymi akcjami i kontrakcjami bojowymi, wysadzaniem niemieckich pociągów wojskowych, zdobywaniem broni i amunicji.

Nastąpiła wiosna 1943 r. Oddział nasz awansował do rangi brygady. Odtąd należeliśmy do Brygady im. Lenina. Otrzymaliśmy nowe miejsce dyslokacji. Trzeba było pomyśleć i o namiocie. Wybrałem sobie miejsce nad samą Łanią. Sąsiadem moim był kpt. rez. „Sasza”. Jakież to był miły człowiek! Jakież

uczynny! Miłość bliźniego praktykował w stopniu heroicznym. Gdy w czasie marszu mieliśmy możliwość nocowania w jakimś domu —> a nie było dla wszystkich miejsca — to kpt. „Sasza”, choć najstarszy z nas wiekiem, ustępował swoje miejsce w domu młodemu, jeszcze nie zahartowanym partyzantom, a sam kładł się na podwórzu i odpoczywał na gołej ziemi.

Którejś nocy w maju 1943 r. zostałem poproszony do dowódcy brygady. Zdziwiła mnie ta nocna wizyta gońca sztabowego. Trudno, trzeba słuchać. Nie mogłem tylko zrozumieć, dlaczego wypytywano mnie o personalia. Dopiero po kilku dniach zrozumiałem wszystko. Z ust gen. Komarowa (czy Kleszczowa) dowiedziałem się o decyzji sformowania w ZSRR 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Pokazano mi artykuły w tej sprawie zamieszczone w dzienniku „Prawda”. Usłyszałem wtedy propozycję, abym się udał w związku z tym do Moskwy. „Prócz dobrego, nic was tam złego spotkać nie może” — zapewniano mnie. Poprosiłem o możliwość porozumienia się i naradzenia się z moimi partyzantami i parafianami. Wszyscy byli tego samego zdania, że warto pojechać do ZSRR i odwiedzić tam rodaków, znajdujących się w różnych republikach.

Istniała wówczas regularna komunikacja lotnicza między partyzanckim sztabem generalnym a oddziałami walczącymi na tyłach wroga. Ale na naszych podmokłych łąkach samolot nie mógł lądować. Trzeba się było zdecydować na drogę ok. 200 km do sąsiedniego zgrupowania partyzanckiego. Tam oczekiwano mnie na lotnisku. Dowódca brygady dał mi jako ochronę 15 partyzantów.

Kończył się okres mojej przynależności do partyzantki, trwający od 15 września 1942 r. do 5 czerwca 1943 r., jak to stwierdzono w zaświadczeniu nr 6312 Białoruskiego Sztabu Ruchu Partyzanckiego, wystawionym już po moim powrocie z Armią Polską z ZSRR.

Było mi przykro pożegnać ukochane Polesie, gdzie tyle przecierpiałem, ale gdzie też spotkałem tylu ludzi dobrych i życzliwych.

Po kilku dniach i nocach uciążliwego marszu dobrnęliśmy do miejsca rozlokowania sąsiedniego ugrupowania partyzanckiego. Komendant lotniska powiadomił niezwłocznie Główny Sztab Partyzancki o moim przybyciu. Wieczorem urządzono zbiórkę na lotnisku. Była to duża polana leśna. Stał tam traktor, a w gęstwinie drzew kryły się „ziemianki”. Było nas około dwudziestu, przeważnie ranni. Usłyszeliśmy rozkaz: „zdrowi wystąpić, świaszczennik (to znaczy ja) pozostać na miejscu”. Zdrowi otrzymali polecenie powyciągania z ziemi drzew włożonych tam dla zamaskowania samolotu, który poprzedniej nocy przyleciał z Moskwy. Zawyły silniki, ale start okazał się utrudniony. Samolot nie mógł oderwać się od ziemi. Startując, zahaczył o traktor uszkodzając tylny ster. Byliśmy już jednak w powietrzu. Pilot naradza się z obsługą, czy kontynuować lot. Mimo uszkodzonego steru, decyduje się na dalszy lot.

Polecieliśmy trasą najmniej strzeżoną przez Niemców. Nad ranem wylądowaliśmy na podmoskiewskim lotnisku. Niebawem nadjechał samochód, wysiada jakiś kapitan i prosi mnie do swego samochodu. Jedziemy do miasta. Przejeżdżamy obok Kremla i zatrzymujemy się przed Głównym Sztabem Partyzanckim.

W kwaterze Głównego Sztabu Partyzanckiego pomimo wczesnej pory widzę wielu urzędujących generałów i pułkowników. Witają się ze mną jakby z rodzonym bratem. Czuję się trochę zażenowany. — „Przecież wspólnie z nami walczyacie z okupantem...” Podjęli mnie obfitym śniadaniem. Ucałować się chciało chleb, którego od długich miesięcy nie kosztowałem. Tak, ten zwykły chleb i śledzie najbardziej mi smakowały. W partyzantce jadał się co najwyżej placki „lepieszki” i jakieś zupy.

Okazało się, że przybycie do Moskwy zawdzięczam gen. Ponomarencze z Głównego Sztabu Partyzanckiego. (W latach pięćdziesiątych był on ambasadorem ZSRR w Warszawie). Poszedł na rękę płk. Berlingowi i Wandzie Wasilewskiej, poszukującym dla 1 Dywizji kapelana, wiedział już bowiem wiele o mnie od swych podkomendnych z Polesia, i wskazał na mnie.

Były to pierwsze dni czerwca 1943 r. Dla wypoczynku po trudach partyzanckich skierowano mnie do podmoskiewskiej miejscowości letniskowej w Srebrnym Borze i ułatwiono mi zwiedzenie wielkiej

stolicy Kraju Rad. Tak upłynęło kilka dni.

Dnia 8 czerwca powiedział mi gen. Żuków, że w dniu następnym odbędzie się I Zjazd Związku Patriotów Polskich w Moskwie. Ucieszyłem się ogromnie z możliwości spotkania naszych rodaków. Poznałem tam wielu, wśród nich płk Zygmunta Berlinga, Wandę Wasilewską, Włodzimierza Sokorskiego, dr. Bolesława Drobnera, Andrzeja Witosa, prof. dr. Jakuba Parnasa, dr. Stefana Jędrychowskiego, płk. Antoniego Siwickiego, Aleksandra Kłosa, Kazimierza Witaszewskiego, Stanisława Skrzyszewskiego, Włodzimierza Stahla, Janinę Broniewską, Helenę Usiejewicz i wielu innych.

Płk Berling powitał mnie z miejsca słowami: „Mianuję księdza majorem. Oto dywizja ma już swego kapelana — partyzanta”.

Wybrano mnie do prezydium zjazdu, zapoznano z programem ZPP, który można było streścić następująco: zrzęcać wszystkich rodaków, roztoczyć nad nimi opiekę, sformować polskie siły zbrojne do walki z hitleryzmem i przygotować im w swoim czasie powrót do Ojczyzny. Zaproszono mnie do wygłoszenia przemówienia na zjeździe. Wygłosiłem je w duchu patriotyczno-narodowym, podkreślając sojuszniczą i słowiańską więź obu walczących z hitleryzmem narodów. Wystąpienie moje spotkało się z dobrym przyjęciem ze strony polskiej i radzieckiej.

Wszedłem w skład rozszerzonego Prezydium ZPP i odtąd do 1944 r. uczestniczyłem co trzy tygodnie w zebraniach ZPP. Nasze przemówienia zjazdowe poszły na falach eteru na cały świat. Jak się po wojnie dowiedziałem, zaraz nazajutrz po usłyszeniu mojego przemówienia b. naczelnik poczty we Wodzisławiu, p. Cyran, zakomunikował mojemu ojcu radosną wieść, że żyję, że jestem w Moskwie i że przemawiałem przez radio. Była to największa radość dla moich drogich rodziców i rodzeństwa.

Po zjeździe pozostałem jeszcze trzy tygodnie w Moskwie. Zacząłem od uszycia sobie kapelańskiej mundurowej „czamary” wg tradycyjnych wzorów. Rysunek kroju, o ile się nie mylę, przygotowała Janina Broniewska. Proponowano mi też uszycie nowej sutanny. Krawiec — Gruzin — nawet nie chciał spojrzeć na moją starą, wyniszczoną w lasach partyzanckich sutannę. — „Znam to, już szyłem kiedyś dla kardynała” — „Ale czy kiedyś był tu w Moskwie jakiś kardynał?” — „Potrzeba było dla teatru i uszyłem”. I uszył mi też, ale z pamięci.

Od Heleny Usiejewicz dowiedziałem się, że jest w Moskwie kapłan katolicki przy kościele Św. Ludwika. Pośpieszyłem tam na uroczystość Zielonych Świąt. Wchodząc usłyszałem sekwencję do Ducha Św. (na temat moich przeżyć i wrażeń z tego nabożeństwa napisałem artykuł dla gazety „Wolna Polska”). Kościół był tak natłoczony ludźmi, że nie mogłem przedostać się do zakrystii. Musiałem poczekać do końca Mszy św. Dopiero po Mszy św. mogłem porozmawiać z rektorem kościoła. Był to kapłan ambasady USA, redemptorysta, o. Brown. Oświadczyłem mu, że przechodzę do duszpasterstwa wojskowego, lecz mam pewne wątpliwości co do moich formalnych uprawnień. Powiedział mi: „Trzeba to uważać za wolę Bożej Opatrzności. Mam wszelkie uprawnienia Delegata Apostolskiego. Niniejszym udzielam księdzu pełnej jurysdykcji na cały teren Związku Radzieckiego. Cieszę się, że ksiądz będzie mógł owocnie pracować dla żołnierzy polskich”. Dał mi wino mszalne, hostie i komunikanty. Brokatowy ornat wydano mi z muzeum moskiewskiego. Albę uszył mi krawiec dywizyjny.

Pod koniec czerwca 1943 r. przybyłem z Moskwy do Sielc nad Oką. Przekroczywszy rzekę, zobaczyłem żołnierza polskiego. Przy budynku sztabu łopoce nasz sztandar narodowy. Przed gmachem sztabu Orzeł Biały. W południe rozlega się hejnał. Wprost wierzyć się nie chciało, że tu, w sercu Rosji, jest klimat i atmosfera na wskroś polska. Gdy później, po paru tygodniach pobytu w dywizji, widywałem przychodzących rodaków z dalekich zakątków Kraju Rad, rozumiałem, że wzruszenie ich, jako objaw zewnętrznej radości, jest jak najbardziej uzasadnione.

W 1 Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki spotkałem się z nadzwyczaj zyczliwym przyjęciem ze strony d-cy dywizji płk. Berlinga, jego zastępcy d/s oświatowych mjr. Włodzimierza Sokorskiego, zastępcy d-cy dywizji d/s liniowych płk. Antoniego Siwickiego, płk. Leona Bukojemskiego, kpt. Włodzimierza Stahla i wielu innych oficerów. Żołnierze czekali i codziennie wyglądali przyjazdu kapelana,

o którym opowiadali żołnierzom oficerowie po powrocie z I Zjazdu ZPP. Po przybyciu do Sielc zostałem przedstawiony żołnierzom wszystkich jednostek. Ceremonii tej dokonywali oficerowie oświatowi. W przemówieniach do żołnierzy opowiadałem im o kraju, o strasliwym terrorze, stosowanym przez krwawego okupanta, o aresztowaniach kapłanów i wielkiej części naszej inteligencji, o masowych mordach dokonywanych na ludności żydowskiej, o cierpieniach całego narodu, o walce bohaterskich oddziałów partyzanckich i konieczności kontynuowania zbrojnego oporu względem okupanta. Nakreśliłem plan zamierzonych nabożeństw w dywizji i poszczególnych jednostkach, jak również i pogadanki religijnych.

Za najpilniejsze swe zadanie uważałem przygotowanie kaplicy. Na ten cel oddano mi jeden z nielicznych domków, który dotychczas, służył celom wczasowo-wypoczynkowym. Adaptacji domu do celów sakralnych podjął się i dokonał inż. Józef Sigalin, ówczesny adiutant dowódcy dywizji. Potrzeba nam było obrazów. Pewnego dnia zjawia się malarz Tobera z Wileńszczyzny i ofiaruje swe usługi. Pomagał mu zdolny artysta rzeźbiarz polskiego pochodzenia Puzerowski. Zastanawialiśmy się nad treścią obrazów. Uważałem za konieczne, aby środkowy obraz przedstawiał Matkę Boską na tle Białego Orła, po jednej stronie historię męczeństwa narodu polskiego, a po drugiej zmartwychwskrzeszenie Polski, a mianowicie: grób pod strażą żołnierzy, sztandar narodowy i unoszący się nad grobem Zmartwychwstały Chrystus. Całość przedstawiała się nastrojowo.

W rocznicę bitwy pod Grunwaldem, 15 lipca, miała być pierwsza uroczysta Msza św. dla naszych żołnierzy i delegacji. Przez kilka wieczorów, gdy żołnierze byli po ćwiczeniach, słuchałem spowiedzi. Przystąpili młodzi i starsi.

Dnia 15 lipca o godz. 7.30 odprawiłem uroczystą Mszę św. dla naszych żołnierzy i przybyłych delegacji. Była m.in. obecna Wanda Wasilewska, Janina Broniewska i Helena Usiejewicz, czechosłowacki attache wojskowy' przedstawicielstwo wojskowe Francji Walczącej, liczni alianccy korespondenci wojenni itp. Śpiewano chóralnie pieśni religijne i religijno-patriotyczne, przygrywała dobrze wyćwiczona przez Miłoszewicza potężna orkiestra dęta. Żołnierze śpiewali, ale i mocno szlochali. Znaczna część żołnierzy przystąpiła do Komunii św. Ileż starań włożyły uprzednio dziewczęta w uprzątnięcie pod kierunkiem dr Ireny Śztachełskiej budynku i przeobrażenie go w piękną kaplicę dywizyjną, ozdobienie nie tylko ołtarza, ale i całej kaplicy kwiatami...

Po nabożeństwie odbyła się przysięga 1 Kościuszkowskiej dywizji.

O godz. 9.30, po dokonaniu przeglądu wojsk przez płk. Bolesława Kieniewicza i złożeniu przezeń dowódcy dywizji meldunku o gotowości żołnierzy do przysięgi, płomienne, nastrojowe przemówienie wygłosiła Wanda Wasilewska, przewodnicząca ZPP. Jako pierwszy złożył przysięgę na moje ręce dowódca dywizji — płk Zygmunt Berling. Byłem ubrany w komżę, a w rękę trzymałem krzyż. Następnie poszedłem z płk. Berlingiem na trybunę, gdzie dowódca, stojąc w asyście Wandy Wasilewskiej i kapelana dywizji, odbierał przysięgę od żołnierzy.

Gdy wcześniej rano przygotowywałem się do Mszy św., usłyszałem pytanie podchodzących żołnierzy: „Czy ma ksiądz ministranta? Czy możemy posłużyć do Mszy św.?” — Chętnie przyjąłem ich propozycję. Po Mszy św. doszły mnie ich uwagi: „A jednak umie odprawiać” — O co im chodzi? — pomyślałem sobie. Czy może sądzą, że przebywając w więzieniu, a potem w lasach musiałem zapomnieć ceremonii liturgicznej? Sprawa wyjaśniła się później.

Gdy zbliżaliśmy się pod Lenino, słuchałem zwykle spowiedzi w czasie postojów w marszu do pozycji przyfrontowych. Szukając odpowiedniego miejsca do udzielenia sakramentu, zauważyłem zbliżającą się grupę żołnierzy. Wystąpił jeden, pewnie odważniejszy, zameldował się przepisowo i przeprosza za nieufność w stosunku do mojej osoby: „Nie mieliśmy do księdza zaufania. Nie mogło się nam w głowie pomieścić, że pozwolono na obecność katolickiego kapelana w wojsku. Pójdziemy w bój, nie wiadomo, czy przeżyjemy, więc serdecznie przepraszamy księdza majora”.

Jakaś inna grupa żołnierzy uważała mnie za Żyda. No, bo włos ciemny, kędzierzawy, nos „rasowy” i

moje niesłowiańskie „r”. W dywizji znalazł się jednak żołnierz Małecki, brat proboszcza z Polesia, u którego bywałem nieraz w gościnie. Odnalazłem też dwóch znajomych z Łunińca, chor. Klewzyca i chor. Jakubika.

Gdy żołnierze otrząsnęli się ze swoich wątpliwości i nabrali zaufania do mnie, zaczęli mnie męczyć swoimi skrupułami. Odtąd przychodzili na poufne rozmowy. Wyraźnie zaznaczali, że przychodzą również w imieniu swoich kolegów. „Ksiądz major jest kapelanem, dlatego przychodzimy z całym zaufaniem jako do swego ojca duchownego”. Nikomu nie mówiłem o ich wątpliwościach. Uważałem za swój obowiązek koić rany, wyprostowywać ich myśli, wskazywać na wielkie przemiany, jakie nastąpiły w polityce, itp. W rozmowie z mjr. Sokorskim i mjr. Groszem wspominałem o ważnych moim zdaniem problemach, które trzeba żołnierzom jasno stawiać.

W rozładowywaniu ciężkiej atmosfery pomagał mi nieraz płk Berling. Do niego zwracałem się jak do swego ojca. Zawierzyłem pułkownikowi, bo widziałem w nim prawdę, sprawiedliwość, uczciwość, rozum i serce. Mieliśmy przecież wspólny cel: nie tylko uspokoić, ale i pouczać żołnierzy, wskazywać im prawdę i czynić wszystko, aby uszczęśliwić naszych żołnierzy i ich rodziny. Z biegiem czasu nabrali żołnierze więcej „mądrości politycznej”, ale i później przychodzili nadal radzić się w wielu sprawach.

Każdego dnia, przeważnie wieczorem, odprawiałem Mszę św. i słuchałem spowiedzi. Każdego też dnia przystępowało wielu żołnierzy do spowiedzi i musiałem uzgadniać z dowództwem czas nabożeństwa. Nie miałem prawa ani zamiaru utrudniać prac szkoleniowych. Faktem jest, że żołnierze sumiennie zabierali się do swoich prac i ofiarniej spełniali swoje obowiązki, gdy częstszy był ich kontakt z kapelanem, z ołtarzem. Nie są to pretensjonalne słowa. Kościuszkowcy znad Oki mogą zaświadczyć o mojej prawdomówności. Ile razy teraz jeszcze ich spotykam, słyszę wyznania, kim był dla nich ksiądz kapelan, jaką rolę odgrywał nawet w kształtowaniu ich orientacji politycznej, ich postawy patriotycznej. Sam gen. Stanisław Zawadzki, gdy w 1948 r. przeprowadzałem swoje przeniesienie do rezerwy, powiedział mi: „Trzeba słusznie przyznać, że ksiądz scementował całe to bractwo 1 Dywizji i rozładował swoją obecnością ich nieufne nastawienie do nas”..

Bywały wypadki, że sami dowódcy prosili mnie, abym przyszedł z nabożeństwem, bo wtedy żołnierze lepiej słuchają i lepiej pracują. Trudno było nie pójść, gdy każda jednostka prosiła. Mniej więcej obchodziłem kolejno wszystkie jednostki. W niedziele zawsze odprawiałem trzy Msze św., każdą w innej jednostce. Trzecią Mszę św. odprawiałem z reguły po południu, bo parę godzin spowiadałem przed nabożeństwem. W tym czasie przygotowywał mój „adiutant” wespół z innymi żołnierzami ołtarz. Podczas każdej Mszy św. odprawianej dla żołnierzy, wygłaszałem chociaż krótkie kazanie, względnie rozmyślanie. Przy każdej Mszy św. przystępowało kilkudziesięciu żołnierzy do Komunii św.

Było kilka wypadków, że sami żołnierze przygotowywali się wzajemnie do pierwszej spowiedzi i Komunii św. Moja rola ograniczała się tylko do skontrolowania i uzupełnienia wiadomości podanych przez żołnierzy. Panowała gorliwość niczym pierwszych gmin chrześcijańskich.

Nad Oką zmarła pewna nasza rodaczka z baonu fizylierek. Na imię jej było Elżbieta. Choć na obcej ziemi pochowana, to przecież wśród swoich. Brzozowy, wystający z jej grobu krzyż głosił jej wiarę w zmartwychwstanie.

Pod koniec sierpnia wyruszyła dywizja na manewry. Pojechałem również. Po ćwiczeniach podano do wiadomości, że dywizja jest przygotowana do walki.

Trzeba się liczyć z wyjazdem na front. Wykorzystuję czas na odprawienie w każdej jednostce Mszy św. o opiekę na froncie. Odwiedzam i tych, którzy pozostaną jako załóżek 2 Dywizji.

Wyjątki z dziennika.

30.VIII. Jutro wyjeżdżamy. Zostawiamy kaplicę. Kto będzie kapelanem 2 Dywizji? Wanda Wasilewska zapewniała mnie, że dostaniemy księdza, jeżeli podamy adres jakiegoś kapelana, przebywają-

cego na terenie Związku Radzieckiego. Żołnierze podali adres ks. Tadeusza Fedorowicza — Kazachstan. Poszło pismo do „Wojenkomatu” o zmobilizowanie ks. Fedorowicza. Wspomniała Wanda Wasilewska i o innym księdzu z Rygi, przebywającym chwilowo w szpitalu po odniesionych ranach na froncie¹. Całą noc pakował mój kierowca, sierżant Apolinary Skoczek, z moim adiutantem, chor. Janem Wróblem, kaplicę połową, którą stanowił 2,5-tonowy studebaker.

31.VIII. O godz. 9-tej opuszczamy Sielce. Powoli przejeżdżamy po pontonowym moście, przetrzucanym przez ciche wody rzeki Oki. Przy pięknej pogodzie dojeżdżamy do stacji kol. Diwnowo. Po godzinnym oczekiwaniu podejżdża pociąg. Dowództwo przeznacza wagony dla poszczególnych jednostek. Ładowanie przeciąga się do zmierzchu. Z zapadnięciem nocy rozlega się przeraźliwy gwizd lokomotywy i przy dźwiękach hymnu narodowego ruszamy na zachód. Każdy obrót kół zbliża nas do kraju.

1.IX. Z nastaniem dnia ukazuje się na widnokręgu Moskwa. Tyle fantastycznych wieści krąży o niej. O Moskwę rozbiła się niegdyś potęga Napoleona, a wczoraj Hitlera. Wjeżdżamy na przedmieścia. Tu i ówdzie unoszą się nad ziemią przywiązane na linkach balony zaporowe. Nad naszymi głowami płynie nieduży sterowiec, patrolujący wzdłuż torów kolejowych. Wszędzie wre praca, *a* zarazem widać czujność i gotowość porzucenia narzędzi pracy, by chwycić za broń. Na głównej stacji zatrzymujemy się na trzygodzinny postój. Orkiestra dywizyjna przegrywa różne narodowe piosenki i marsze. Wzdłuż wagonów przechodzi Wanda Wasilewska w towarzystwie swej córeczki i płk Berlinga. Serdeczne jest nasze przywitanie. Troskliwie wypytuje żołnierzy o warunki jazdy, o samopoczucie. Składają życzenia na dalszą drogę do Ojczyzny. Fizylierki podbiegają, dzieląc się wrażeniami jedna przez drugą. Z wrażenia w ogóle nie spały. Po południu kontynuujemy podróż. Kilkadziesiąt kilometrów za Moskwą coraz częstsze ślady wojny: spalone osiedla, okopy zasieki druciane i cementarze. Smutny widok przedstawiają ruiny i zgliszczka miasta Wiaźmy. Wzdłuż torów ciągną się nie uprawiane pola. Niedawno fałowały tu łany pszenicy, a dziś dzwoni po nich smutny wiatr na Anioł Pański za pomordowanych przez hitlerowców.

2.IX. Ze wschodem słońca dojeżdżamy do stacji Siemlewo. Rozlega się komenda: rozładowywać się. Koniec podróży koleją. Spiesznie wyładowujemy się, by nas nie dostrzegł przypadkiem „frycowski samolot”, jak mówią żołnierze. Śniadanie będzie w lasku o półtora kilometra stąd. Przygotowuję ołtarz połowy pod osłoną drzew. W nabożeństwie biorą udział fizylierki, orkiestra i jednostki sztabowe. Słychać warkot silników. Nadlatują samoloty niemieckie. Zjawiają się pościgowce radzieckie. Nad naszymi głowami toczy się bój powietrzny. Suchy trzask karabinów maszynowych. Po kilkuminutowej walce wróg zostaje odparty. To było pierwsze nasze nabożeństwo w strefie przyfrontowej. Prosiłem Boga

o opiekę nad wszystkimi. Po śniadaniu ruszamy na nowe miejsce postoju.

3.IX. Zatrzymaliśmy się w lesie. Trzeba przygotować „ziemiankę”.

7.IX. Spowiedź w 1 pp (odległość od naszego miejsca — 26 km). Nabożeństwo było w 3 batalionie. Do Komunii św. przystąpiło 174 żołnierzy.

8.IX. Spowiedź w 1 pułku moździerzy. Jest zimno — woda marznie. Słychać kanonadę frontową. Do spowiedzi: 166 żołnierzy. Samochód staje się wszystkim — kaplicą i kancelarią, jadalnią i sypialnią. Spowiedzi słuchałem we wszystkich wolnych od prac chwilach, tj. gdy żołnierze nie mają zajęć. Późną nocą kładę się spać na polowym sienniku pod brezentem samochodu.

15.IX. W 1 pp pogrzeb czterech żołnierzy. Zginęli śmiercią tragiczną w czasie ćwiczeń bojowych. Pocisk moździerza zranił ponadto 14 żołnierzy. Uroczysty pogrzeb. Przegrywa orkiestra dywizyjna.

16.IX. Pojechałem do naszych rannych i chorych żołnierzy do szpitala radzieckiego za Wiaźmą.

22.IX. Wyjazd do kolumny samochodowej. Specjaliści robią nam w polowym warsztacie ślusarskim formę do wypiekania opłatków. Zapada ciemna noc. Ulewa. Słabe światło samochodu kiepsko oświeca drogę. Po długim szukaniu odnajdujemy właściwą drogę powrotną.

23.IX. Deszcz nie przestaje, padać. „Ziemianki”, które dały schronienie przed deszczem, zaczynają przeciekać do tego stopnia, że trzeba je opuszczać. Rozkaz natychmiastowego wyjazdu na front! W deszczu wyruszają jednostki sztabowe błotnistą drogą. Kaplica połowa wraz z wydziałem oświatowym pozostaje jeszcze na miejscu. Wraz z nami pozostaje część fizylierek — mają one jechać naszym samochodem.

24.IX. Po południu wyjeżdżamy. Na szosie, 30 km od naszego postoju, zmarł żołnierz. Trzeba mu urządzić pogrzeb. Pochowaliśmy go przy lesie. Przed wieczorem dopędzamy maszerujących żołnierzy. Wielu żołnierzy leży w rowach — zachorowali ze zmęczenia. Kilku leży bez przytomności. Zaopatruję ich nawet olejami św. Ruszamy dalej. Zapada znów ciemna noc. Na szosie stoi regulujący ruchem żołnierz z polską chorągiewką w rękę. Kieruje nas na miejsce nocnego postoju. Zatrzymujemy się dosłownie w krzakach. Wśród egipskich ciemności trudno zorientować się w terenie. Nie można dojść do kuchni. Nieraz chodziło się spać bez pożywienia przez cały dzień. Z kierowcą nocujemy w szoferce.

25.IX. Po śniadaniu odprawa oficerów przed „ziemianką” pułkownika. Instrukcja w sprawie maszerowania: „Szofer ma świecić oczyma, a nie reflektorami”. O godz. 17 wymarsz. Do następnego miejsca postoju mamy 18 km. Zatrzymujemy się w pięknym lesie.

26.IX. Niedziela. Pod osłoną drzew zbudowano ołtarz. Na nabożeństwo przybyło tylko kilkanaście fizylierek, wszyscy odpoczywają po męczącym marszu. W odległości 4 km od sztabu jest m.p. 2 pp. Pojechaliśmy do nich z nabożeństwem. Mniej zmęczeni żołnierze pomagają nawet w przygotowaniu ołtarza. Masa żołnierzy leży na ziemi ze zmęczenia. Felczer bandażuje im troskliwie odparzone w czasie marszu nogi. Pod koniec Mszy św. nadchodzi rozkaz wymarszu. Po drodze spotykamy nasze czołgi, które podciągnęły z Sielc. Jakże serdecznie przywitało się dowództwo czołgów ze mną. Odjechaliśmy dalej, widzę rozbity czołg. Najechał na minę przeciwczołgową. Porucznik i 2 żołnierzy podobno ciężko ranni. Zostali odwiezieni do radzieckiego szpitala. Pojechałem w ślad za nimi. Z szosy skręcamy na drogę leśną, wijącą się wśród wysokich świerków. Droga, jak na nasz samochód, jest nadzwyczaj ciężka, błotnista, formalne jeziorko. Wśród zapadającego zmroku dojeżdżamy do wioski. Od młodej felczerki dowiadujemy się, że jeden z naszych rannych jest teraz na stole operacyjnym — dwóch innych przewieźli do sąsiedniej wioski, odległej o półtora km. Zdecydowaliśmy się tam pojechać. Samochód dosłownie tonie w błocie. Z powodu późnej godziny nie można się widzieć z rannymi. Jutro za dnia powrócimy. Wracamy. Od wartownika na szosie dowiadujemy się o miejscu chwilowego postoju jednostek sztabowych.

27.IX. Przed południem pojechaliśmy do naszych rannych. Czują się nieźle. Jeden ma tylko złamaną nogę. Swoim przybyciem sprawiamy wielką radość. Poczestowałem ich papierosami, jak również i wszystkich leżących na tej sali. W rogu leży dziwny ranny. Całą twarz ma czarną jak sadza. Towarzyszący nam lekarz objaśnia, że to pułkownik pilot. W czasie jednej z licznych jego wypraw na pozycje nieprzyjacielskie Niemcy trafnym strzałem zapalili jego samolot. Z płonącego samolotu wyskakuje na spadochronie. Twarz jego dosięgły jednak płomienie i zupełnie spaliły skórę. Szczęście, że oczu nie uszkodziły. Po wylądowaniu zabrali go Niemcy do niewoli i umieścili jako jeńca w szpitalu. Po kilku dniach Armia Czerwona zaatakowała to miasto. Korzystając z zamieszania ukrył się z innymi rannymi jeńcami w piwnicy, gdzie przebywali dziewięć dni, czyli do chwili zajęcia miasta przez Armię Czerwoną.

Z kolei odwiedzamy naszego podporucznika czołgistę. Leży w osobnym pawilonie. Poważnych ran nie odniósł, uległ tylko gwałtownemu wstrząsowi i w ten sposób ucierpiał jego system nerwowy. Lekarz zapewnia, że wnet powróci do normalnego stanu.

W powrotnej drodze zatrzymuje nas goniec z 3 pp. O godz. 18 będzie pogrzeb dwóch żołnierzy. Pracowali jako kucharze. Aby ugotować obiad, pojechali do pobliskiej rzeczulki. Nad samą wodą koń zbcoczył z drogi i naskoczył na minę. Nastąpiła silna eksplozja. Zginęli obaj żołnierze i koń.

Wyjątki z dziennika.

30.VIII. Jutro wyjeżdżamy. Zostawiamy kaplicę. Kto będzie kapłanem 2 Dywizji? Wanda Wasilewska zapewniała mnie, że dostaniemy księdza, jeżeli podamy adres jakiegoś kapłana, przebywającego na terenie Związku Radzieckiego. Żołnierze podali adres ks. Tadeusza Fedorowicza — Kazachstan. Poszło pismo do „Wojenkomatu” o zmobilizowanie ks. Fedorowicza. Wspomniała Wanda Wasilewska i o innym księdzu z Rygi, przebywającym chwilowo w szpitalu po odniesionych ranach na froncie¹. Całą noc pakował mój kierowca, sierżant Apolinary Skoczek, z moim adiutantem, chor. Janem Wróblem, kaplicę połową, którą stanowił 2,5-tonowy studebaker.

31.VIII. O godz. 9-tej opuszczamy Sielce. Powoli przejeżdżamy po pontonowym moście, przezuconym przez ciche wody rzeki Oki. Przy pięknej pogodzie dojeżdżamy do stacji kol. Diwnowo. Po godzinnym oczekiwaniu podjeżdża pociąg. Dowództwo przeznacza wagony dla poszczególnych jednostek. Ładowanie przeciąga się do zmierzchu. Z zapadnięciem nocy rozlega się przeraźliwy gwizd lokomotywy i przy dźwiękach hymnu narodowego ruszamy na zachód. Każdy obrót kół zbliża nas do kraju.

1.IX. Z nastaniem dnia ukazuje się na widnokręgu Moskwa. Tyle fantastycznych wieści krąży o niej. O Moskwę rozbiła się niegdyś potęga Napoleona, a wczoraj Hitlera. Wjeżdżamy na przedmieścia. Tu i ówdzie unoszą się nad ziemią przywiązane na linkach balony zaporowe. Nad naszymi głowami płynie nieduży sterowiec, patrolujący wzdłuż torów kolejowych. Wszędzie wre praca, a zarazem widać czujność i gotowość porzucenia narzędzi pracy, by chwycić za broń. Na głównej stacji zatrzymujemy się na trzygodzinny postój. Orkiestra dywizyjna przygrywa różne narodowe piosenki i marsze. Wzdłuż wagonów przechodzi Wanda Wasilewska w towarzystwie swej córeczki i płk Berlinga. Serdeczne jest nasze przywitanie. Troskliwie wypytuje żołnierzy o warunki jazdy, o samopoczucie. Składają życzenia na dalszą drogę do Ojczyzny. Fizylierki podbiegają, dzieląc się wrażeniami jedna przez drugą. Z wrażenia w ogóle nie spały. Po południu kontynuujemy podróż. Kilkadziesiąt kilometrów za Moskwą coraz częstsze ślady wojny: spalone osiedla, okopy,

28.IX. Odwiedzam Batalion Sanitarny odległy o kilka kilometrów. Lunął straszny deszcz. Przemoczony odwiedzam wszystkich, niosąc każdemu słowa pociechy. Sześciu chorych przystąpiło do spowiedzi. Ciemnym wieczorem wracamy przy stale padającym deszczu.

29.IX. Dalszy marsz. Przed nami, po białym szlaku szosy, wije się jak wąż drugi pułk. Szosa prowadzi koło miasta Jarcewa. Smutny przedstawia ono widok. Większość domów zburzona, względnie spalona. Oba mosty na rzece zniszczone. Przeprawa, wobec tego utrudniona. Wczorajszej nocy pisałem na prośbę ZPP odezwę do Kraju. Zostanie jako ulotka zrzucona z samolotów na terenie Polski. W południe krótki postój. Przebita opona. Kierowca uszykował wóz do dalszej jazdy. Samochód ugrzązł w błocie. Trzeba przenocować w szoferce.

30.IX. Rano — samochód jednostki gospodarczej wyciąga nas z błota. Dojeżdżamy do wsi Kałszy, Do Smoleńska pozostaje zaledwie 80 km. Wyjątkowo wioska nie jest spalona. Kwaterę dostaliśmy na drugim końcu wioski. Nad drzwiami wisi jeszcze tabliczka z napisem niemieckim. Gospodyni opowiada nam, że mieszkańcy z powodu naszego umundurowania wzięli nas za Niemców. Z okna mamy przepiękny widok na jezioro, połyskujące swą falą na obszernej nizinie. Na drugim brzegu jeziora czernieje szkielec niemieckiego samolotu. — Po południu jedziemy do p-pancu, bliżej Smoleńska, który rozlokował się w gęstych krzaczkach za wsią Małuszczyno. 19 żołnierzy przystąpiło do spowiedzi, a w czasie Mszy św. do Komunii św. W czasie kazania zachęcałem do różańca.

1.X. Rozpoczynamy miesiąc poświęcony Matce Boskiej. — Gdzie urządzimy nabożeństwo różańcowe? Fizylierki z moim adiutantem przygotowały ołtarz w budynku szkolnym. Okna szczelnie zasłonięto kocami. Ostrożność jest tu konieczna. Przystroją był dolatujący do nas trajkot karabinu maszynowego, z którego niemiecki samolot ostrzeliwał przechodzące szosą wojsko. Z kaplicy polowej przenio-

słem Sanctissimum. Odmawiamy różaniec i śpiewamy pieśni do Matki Boskiej. W nabożeństwie brały udział przeważnie fizylierki.

2.X. Z rana przystąpiło ośmiu żołnierzy do spowiedzi i Komunii św. Mszę odprawiłem u czołgistów. Mój samochód poszedł do kolumny samochodowej do przeglądu. Pojechałem więc samochodem czołgistów. Opowiadali mi moi ludzie, że w czasie mojej nieobecności przyszedł rozkaz wyruszenia w dalszą drogę. Wyjechali co dopiero za wieś i już ich zauważyłem, stojąc w wieżycze samochodu pancernego. Przesiadam się, podziękowawszy czołgistom za dostawienie mnie do mojego samochodu. Wjeżdżamy do Smoleńska. Ani jednego całego domu, wszystkie gmachy zburzone — kupa gruzu i żelastwa. Po drugiej stronie widać tylko ocalałą cerkiew (czy kościół).

2.X. ... jesteśmy w bezpośredniej bliskości frontu. Podczas każdego postoju słucham spowiedzi. Odprawiam nabożeństwa przy dobrym maskowaniu ołtarza. Podczas wszystkich nabożeństw wydałem sto kilkadziesiąt Komunii św. Żołnierze są bardzo przejęci, łada dzień znajdziemy się na pierwszej linii.

Płk Kieniewicz uważał mnie za człowieka, który ma za sobą doświadczenie bojowe. Roczny pobyt w partyzantce — w tym prawie dwa tygodnie w okrążeniu — dał mi wiele doświadczenia bojowego. To też byłem bardzo wdzięczny płk. Kieniewiczowi, gdy parę dni przed bitwą zaproponował mi zapoznanie się z terenem walki.

10.X. Po rannej Mszy św. przemawiam do żołnierzy. Staram się przygotować ich psychicznie do wielkiej chwili zajęcia miejsca na pierwszej linii. Powiedziałem, że łada chwila spotkają się z wrogiem w walce na śmierć i życie, że W takich wyjątkowych okolicznościach kapłan może udzielić wszystkim rozgrzeszenia. Wtedy któryś z żołnierzy prosi głośno o udzielenie wszystkim rozgrzeszenia, inni przyłączają się do tej prośby. By żal był lepszy, zrobiłem z żołnierzami rachunek sumienia, starając się jak tylko mogłem wzbudzić w nich żal za grzechy, i udzieliłem wszystkim rozgrzeszenia. Po południu byli już na pierwszej linii frontu.

I tak kolejno obchodziłem przez następny dzień jednostki i żołnierzy, którzy nie skorzystali jeszcze ze wspólnego, zbiorowego rozgrzeszenia. Nie zapomnę nigdy, jak żołnierze przeżywali chwile wspólnego rozgrzeszenia. Jeszcze w momencie natarcia 1 pp 1 batalionu byłem na linii, by udzielić im rozgrzeszenia. Chciałem też mieć spokojne sumienie, że spełniłem swój obowiązek kapłański względem tych, którzy mi całym sercem zaufali.

"Wspomina o tej chwili Lucjan Szenwald w swym poemacie o I Batalionie. Uwiecznił to również Henryk Hubert w książce „Lenino” (str. 68—69).

A potem przyszedł, dzień 12 października, dzień, który pozostanie już na zawsze w historii Ludowego Wojska Polskiego.

Poszli jak huragan, parli naprzód, raz po raz ciężko padając na ziemię. Byłem wtedy wraz z nimi, błogosławiłem walczących, kołem umierających, znakiem krzyża wskazywałem jednym drogę do wolności, drugim do zmartwychwstania.

Lenino • — z nim wiążą się moje najgłębsze przeżycia z okresu minionej wojny.

Wilhelm Franciszek Kubsz (ur. 29 marca 1911 w Gliwicach, zm. 24 lipca 1978 w Jeleniej Górze) – polski kapłan katolicki, kapelan Ludowego Wojska Polskiego w ZSRR.

Życiorys

Pochodził z wieloletniej rodziny górnośląskiej. Ojciec pracował jako kolejarz, brał udział w powstaniach śląskich. W 1914 rodzina przeprowadziła się do Wodzisławia Śląskiego, gdzie ukończył szkołę podstawową. Następnie studiował w seminarium duchownym oo. oblatów w Lubliń-

cu, po czym wstąpił do nowicjatu Zgromadzenia Oblatów Misjonarzy Maryi Niepokalanej w Markowicach.

Studiował filozofię w Krobi oraz teologię w Obrze, podczas studiów zdobył uprawnienia technika dentyścycznego. W czerwcu 1936 przyjął święcenia kapłańskie. Pracował jako ekonom w Seminarium Duchownym w Obrze, był wikarym w Łuninie na Polesiu.

Po 17 września 1939 został wikariuszem przy dziekanie Poczobucie-Odlanickim, sprawował dozór nad parafią Puzicze koło Baranowicz. Po 1941 zagrożony aresztowaniem ze strony Niemców przystąpił do oddziału partyzantów radzieckich płk. Wasiliewa. Po utworzeniu w ZSRR I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki został jej kapelanem, później Zygmunt Berling mianował go majorem. Otrzymał uprawnienia delegata apostolskiego na terytorium ZSRR. Po przekształceniu Dywizji w I Korpus Sił Zbrojnych w ZSRR został jego dziekanem. Redagował katolicki dodatek do pisma "Żołnierz Wolności" pod nazwą "Bóg i Ojczyzna".

W 1944 został dziekanem I Armii Polskiej w ZSRR. Brał udział w walkach na terytorium Polski, w styczniu 1944 zwolniono go jednak ze służby w wyniku konfliktu z gen. Żymierskim.

Przed armią radziecką i polskim wojskiem ukrywał się w Górach Świętokrzyskich, gdzie ponownie wstąpił na ścieżki życia zakonnego, tym razem w klasztorze oo. oblatów na Świętym Krzyżu. Przebywał także w Poznaniu, a następnie był misjonarzem ludowym w Gdańsku. W latach 1957–1964 był proboszczem w Laskowicach (gmina Jeżewo) w województwie kujawsko-pomorskim. W 1964 został kapelanem, a następnie proboszczem kościoła garnizonowego św. Elżbiety we Wrocławiu. Od 1969 do 1972 pełnił funkcję proboszcza parafii garnizonowej św. Kazimierza Królewicza w Katowicach. Natomiast w latach 1972–1978 był proboszczem garnizonu i parafii św. Krzyża w Jeleniej Górze.

Zmarł w Jeleniej Górze, gdzie został pochowany na cmentarzu komunalnym. 18 lutego 1993 Rada Miejska Jeleniej Góry nadała imię kapelana jednej z ulic okalających jeleniogórski kościół garnizonowy. Odznaczony m.in. Krzyżami Kawalerskim, Oficerskim i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Grunwaldu i Walecznych, a także (pośmiertnie) Krzyżem Virtuti Militari IV klasy.